

Jajo wraca do domu

24 września 2015

Wielka Brytania jest ojczyzną futbolu. Także tego, który nosi nazwę rugby. Legenda głosi, że to narodziło się w 1823 roku, gdy William Webb Ellis w czasie piłkarskiego meczu rozgrywanego w szkole Rugby, złapał piłkę do rąk, pobiegł z nią do bramki, a pretensje kolegów zbył wzruszeniem ramionami. Teraz rugby „wraca do domu”. Wyspy czeka święto.



Między 18 września i 31 października 20 zespołów z sześciu konfederacji walczy na 13 stadionach znajdujących się w 11 miastach o Puchar Webba Ellisa. Ten turniej jest dla rugbyistów tym, czym Mundial jest dla piłkarzy. Jest to też impreza, która zainteresowaniem ustępuje jedynie Mundialowi oraz letnim igrzyskom olimpijskim. I to zainteresowanie wciąż rośnie. O ile łączna telewizyjna widownia pierwszego turnieju, ten rozegrano w 1987 roku w Australii, wyniosła 300 mln osób, to cztery lata temu wyliczono ją na cztery miliardy. Mecze śledzili przede wszystkim mieszkańcy Australii i okolic, Wysp, Francji oraz RPA. Rosła też liczba widzów na stadionach. 28 lat temu mecze obejrzało 600 tys. widzów. A we Francji w 2007 roku już 2,25 mln. Cztery lata później spadła do 1,5 mln, ale tylko dlatego, że mistrzostwa gościli Kiwi, a ich stadiony są mniej pojemne od tych francuskich. Turniej, który odbędzie się

w Anglii ma pobić wszystkie dotychczasowe rekordy. Sprzedano niemal 2,5 mln biletów.

– Ekscytacja wokół turnieju cały czas rośnie. To będzie zbyt ważne, by to ominąć – mówił Stephen Brown, dyrektor turnieju, gdy dzięki rozbudowie części obiektów udostępniano w lipcu dodatkowe 100 tys. biletów. Mecze będą rozgrywane na 13 stadionach, wśród których jest Wembley, Millenium Stadium, St James Stadium i londyński Stadion Olimpijski. Ale najważniejszy, z nich jest londyński Twickenham – popularny Twickers, który jest największym na świecie obiektem poświęconym wyłącznie rugby.

ANGLIA ZACZYNA Z FIDŻI

To ikona, która osiem lat temu świętowała stulecie istnienia. Zbudowano go w 1907 roku w miejscu, które wcześniej było wykorzystywane do... uprawiania kapusty. Stąd pieśzcotliwa nazwa „kapuścianej ścieżki”, którą od czasu do czasu posługują się londyńczycy. W tamtym czasie obiekt mieścił 20 tys. widzów i nierzadko przyciągał komplety. Przez kolejne lata przeszedł wiele remontów i zmian, w tym i takie wymuszone przez zawalenie się trybun, a obecny kształt ma od 2006 roku. Mieści 82 tys. widzów i czterogwiazdkowego Marriota. Jest dumą angielskiego związku rugby i dzielnicy Richmond upon Thames.

Jako taki gości dwa najważniejsze mecze turnieju – mecz pierwszy i mecz ostatni. Pierwszy, rozegrany 18 września o 20.00. Anglia podejmuje Fidżi. Gdyby grano gdziekolwiek indziej gospodarze nie zaliczaliby się do faworytów turnieju, bo choć to w Anglii zaczęto grać w rugby, to podobnie jak z piłką nożną, ta zalicza się do drużyn bardzo mocnych, ale zwykle są lepsi od nich. W dotychczasowych siedmiu turniejach reprezentanci Albionu zwyciężyli tylko raz – w 2003 roku, gdy w finale po dogrywce pokonali Australię 20 do 7. Po dwa razy po mistrzostwo świata sięgali właśnie Australijczycy, reprezentacja RPA oraz All Blacks.

ALL BLACKS

Czyli Nowa Zelandia, na której rugby jest sportem narodowym. Jest też jedynym sportem, w którym Kiwis nie tylko zaliczają się do najlepszych na świecie, ale po prostu są najlepsi na świecie. Od 2005 roku siedem razy byli wybierani World Rugby Team of the Year. Są aktualnymi mistrzami świata. W latach 2013-2014 zarejestrowali najdłuższą serię zwycięstw w historii dyscypliny – wygrali 17 meczów z rzędu. Odkąd w 2003 roku wprowadzono na wzór FIFA ranking drużyn, byli na jego czele dłużej niż wszystkie inne kraje razem wzięte. Wiele mówi i to, że Adidas wyłożył na kontrakt sponsorski 200 mln dolarów, ale oczekuje w zamian... 75 proc. zwycięstw.

Popularność All Blacks to nie tylko wyniki. To także, a może przede wszystkim, legenda, na którą składa się historia, stroje i haka. Pierwszy mecz rugby rozegrano na Nowej Zelandii w maju 1870 roku. Zasady przywiózł na wyspę Charles Monro ze swoich studiów w Anglii. Dyscyplina wybitnie przypadła miejscowym do gustu i wkrótce stała się tam sportem „nr 1”, o czym niewiele później i bardzo boleśnie mieli przekonać się sami Brytyjczycy. Reprezentacja Nowej Zelandii odwiedziła ich w 1905 roku i w czasie tournée po Wielkiej Brytanii rozegrała 35 meczów. Wygrała 34 z nich – przegrali tylko 3 do 0 z Walią w Cardiff. To wtedy drużyna Kiwi stała się All Blacks.

Zespół, który odwiedził wówczas Wyspy do dziś jest nazywany The Original All Blacks. W historii rugby funkcjonują dwie wersje pochodzenia tej nazwy. Pierwsza mówi, że jeden z londyńskich dziennikarzy sportowych miał w relacji z ich meczu napisać, że grają jakby byli „all backs”. Błąd typograficzny zmienił to w „all blacks” i tak już zostało. A pasowało tym bardziej, że drużyna Maorilandu, jak o nich mówiono, grała w czarnych strojach. Do nich odwołuje się zresztą druga wersja opowieści o powstaniu tej nazwy – zgodnie z nią chodziło po prostu o kolor koszulek.

Od tamtej pory stroje nie uległy zmianie. Nowa Zelandia to All

Blacks. Ale nie tylko stylowe stroje zbudowały legendę. Swoje dołożyło także to, że od początku XX wieku drużyna przed każdym meczem odśpiewuje hakę – maoryską pieśń wojenną. Gdy w 1903 roku wygrywali swój pierwszy mecz z Australią, zaśpiewali: „Tena koe, Kangaroo/ Tupoto koe, Kangaroo!/ Niu Tirenī tenei haere nei/ Au Au Aue a!” Czyli: „How are you, Kangaroo!/ You look out, Kangaroo!/ New Zealand is invading you/ Woe woe woe to you!” Później przez dekady śpiewali hakę „Ka mate”, której pierwszy wers tłumaczy się tak: „Mogę umrzeć! Mogę umrzeć! Mogę żyć! Mogę żyć!”. A od niedawna wykonują nową wersję – specjalnie zmienioną, by pasowała do boiska sportowego.

KTO SIĘ LICZY?

All Blacks to najlepsza drużyna rugby na świecie i murowany faworyt. Jednak murowanym faworytem są od zawsze, a nie zawsze wygrywają. Tym razem dziennikarze zajmujący się rugby i fachowcy wskazują, że mogą wcale nie być nie do pokonania. Po pierwsze kilku kluczowych zawodników zmaga się z kontuzjami. Po drugie – to do złudzenia przypomina rozmowy toczone przed piłkarskimi mistrzostwami świata, kiedy polscy dziennikarze próbują utwierdzić polskich kibiców w przekonaniu, że mamy jakieś szanse – mają bardzo słabą grupę, więc trudno ma im być wejść w rytm turnieju. I rzeczywiście zagrają z Argentyną, Tonga, Gruzją i Namibią. Z żadną z tych drużyn jeszcze nigdy nie przegrali.

A jak wyglądają szanse innych? Zawsze groźne są Australia i RPA. Francuzi chcieliby wnieść puchar po raz pierwszy. Anglia, która jest czwarta w światowym rankingu, liczy na atut bycia gospodarzem i to, że „ciężka praca” włożona w przygotowania do turnieju zaowocuje. Stuart Lancaster, trener reprezentacji, zgrupował zespół kilka tygodni przed zawodami. Hasłem obozu było: „hard work”. Trener liczy, że przygotowanie fizyczne oraz wsparcie kibiców da jego drużynie szansę na pokonanie wyżej notowanej konkurencji. Czy tak się stanie?

JAK SIĘ W TO GRA?

Jeżeli ktoś nie kupił wcześniej biletów, to na pójście na stadion ma raczej marne szanse. Mecze pokaże za to ITV, bo sieć wygrała rywalizację z BBC i Sky Sports o prawa do transmisji. Poza tym gorączką rugby rozgorzeją brytyjskie puby i warto zajrzeć do nich na kilka meczów. Ciekawostką jest to, że w samej Anglii jest to sport, który uchodzi za dyscyplinę klas średniej i wyższej, zapewne przede wszystkim za sprawą tego, że dominuje w prywatnych szkołach, do których uczęszczają dzieci zamożniejszych mieszkańców Wysp. Ale już np. w Walii jest zupełnie inaczej. Tam od początku rugby wiąże się z górnikami, którzy spotykali się po pracy, by wspólnie porzucać „jajo”. Z kolei w Irlandii jest to sport, który w wyjątkowy sposób łączy katolików z protestantami i na czas meczów każe głęboko schować nacjonalistyczno-wyznaniowe spory.

Jednak – powiecie – żeby rywalizację rugbystów oglądać, trzeba mieć pojęcie o co w tym sporcie chodzi, a w Polsce jest z tym raczej marnie. Z naszej części Europy na mistrzostwa świata jeździ tylko Rumunia, co jest wynikiem tego, że ten kraj od dawna jest zakochany we Francji i z Francji przywozi kulturalne wzory – i dziś większość rumuńskiej kadry na co dzień gra w klubach znad Loary. W tym i sport. Dlatego w kraju Drakuli w rugby gra się od bardzo dawna i drużyna należy do najlepszych wśród tych, które najlepsze nie są. Wygrywa więc ze słabszymi. Z tymi najlepszymi – prawie nigdy się to nie udaje. Podobnie jest z Gruzją, która w rugby gra coraz lepiej.

Zasady są dość proste. Cała „książka reguł” liczy wprawdzie kilkadziesiąt stron, ale do tego, by zasiąść przed telewizorem lub nacieszyć się oglądaniem imprezy w pubie, wystarczy znajomość tych najbardziej podstawowych. Wersja najkrótsza brzmi tak: trzeba złapać piłkę i podając jedynie do tyłu umieścić ją za linią końcową boiska. Obrońcy mogą łapać jedynie trzymającego piłkę.

Nieco dłuższe i ułożone w punkty zasady rugby:

1. Gra się dwa razy po 40 minut z około dziesięciominutową przerwą.
2. Na boisku przebywa po 15 zawodników. Na ławce rezerwowych siedzi kolejnych siedmiu. Gracze dzielą się na formację młyna oraz ataku.
3. Punkty zdobywa się na kilka sposobów. Poprzez:
 - przyłożenie piłki w strefie znajdującej się w polu punktowym za bramką przynosi 5 pkt.
 - podwyższenie, czyli kopnięcie piłki na bramkę po zdobyciu przyłożenia. Kopie się z ziemi z miejsca znajdującego się na wysokości tego, gdzie piłka wylądowała w polu punktowym. Jeżeli ta przeleci nad poprzeczką i między dwoma słupkami, to drużyna otrzymuje dodatkowe 2 pkt.
 - karny, który bardziej przypomina to, co w piłce jest rzutem wolnym. Po przewinieniu zawodnik kopie piłkę ustawioną na ziemi w miejscu przewinienia. Jeżeli trafi między słupki zespół otrzymuje 3 pkt.
 - tzw. drop kick, który polega na tym, że zawodnik piłkę upuszcza na ziemię i po jednym koźle kopie. Jeżeli trafi między słupki, drużyna otrzymuje 3 pkt.
4. Bieg po przyłożeniu jest obwarowany kilkoma zasadami. Najważniejsza jest taka, że podaje się tylko do tyłu. Podanie do przodu to spalony.
5. Drużyna, która się broni, stara się złapać i przewrócić rywala, ale może łapać tylko tego, który biegnie z piłką. Przewrócony robi wszystko, by piłki nie stracić i podać ją do tyłu. Do tego nie można go łapać za głowę i szyję, bo jest to faul. A faule kończą się na dwa sposoby. Albo:
6. Kiedy są poważniejsze to rzutem karnym, który bardziej przypomina wolny. Albo:

7. Kiedy są mniej poważne to sformowaniem młyna. Ten polega na tym, że po ośmiu zawodników staje naprzeciwko siebie, pomiędzy nich jest wrzucana piłka, którą zagarnia ten zespół, któremu uda się przepchnąć rywala i podnieść „jajo” lub kopnąć je do tyłu i... podnieść.

Wtedy próba zdobycia przyłożenia zaczyna się od początku. Punktów jest zwykle sporo – bywa nawet tak, że gdy dochodzi do starcia drużyny z „topu” ze słabeuszem, to jest ich dobrze ponad 100 – a gra bardzo widowiskowa. Warto dać jej szansę. Tym bardziej, że o lepszą okazję niż nadchodzące półtora miesiąca będzie trudno. Trzeba tylko wybrać drużynę do kibicowania, bo Polaków na tych mistrzostwach nie ma. Można wziąć Anglię. Można stylowych All Blacks. Ja wybieram Irlandię, która w grupie zmierzy się z Francją, Włochami, Kanadą i Rumunią.

Autorstwo: Tomasz Borejza

Zdjęcie: [Maree Reveley](#)

Źródło: eLondyn.co.uk